

665

WNUCZKA KARGULA I PAWLAKA



Na ekranie debiutowała w czasie studiów, w telewizyjnym filmie „Diament radzy”. Później zagrała jeszcze w kilku innych filmach („Szerokiej drogi kochanie”, „Jak daleko stąd jak blisko”, „150 na godzinę”, „Sekret”, „Janosik”), a także w dwóch filmach produkcji NRD-owskiej. W 1973 roku ukończyła krakowską Państwową Wyższą Szkołę Teatralną i rozpoczęła pracę na deskach Teatru Starego, w którym zresztą już znacznie wcześniej debiutowała rolą Kasi w „Królu Mięsopuszczu” reżyserowanym przez Bogdana Hussakowskiego.

Annę Dziadyk-Dymną widzowie znają jednak przede wszystkim z roli Ani w „Samych swoich” czy późniejszych „Nie ma mochych” oraz z optakiwanej do dzisiaj „Trędowatej”, gdzie gra hrabiankę Barską.

— Co nowego z pani udziałem zobaczymy wkrótce na ekranach?

— Trzecią już część „Samych swoich”. Nadal jestem wnuczką Kargula i Pawlaka.

— Zdaje się, że tę rolę darzy pani jakąś szczególną sympatią?

— Chyba dlatego, że film, to znaczy ta trzecia część, jest kręcony na życzenie publiczności. Budzi on sympatię u widzów, wszystkie postacie są dobrze przyjmowane. Cały film zresztą jest bardzo życiowy, uśmiechnięty i praca w tym filmie jest taka, no i reżyser, i dziadków mam wspaniałych. Lubię w nim grać.

— Czy znaczy to, że w ogóle lubi pani grać w filmie?

— Samą pracę bardzo lubię. Jest ciekawa, inna niż w teatrze, inne doświadczenia się zdobywa. Lubię być przed kamerą. Natomiast nie lubię czekania na pianie całymi godzinami, bo to jest strata czasu i trzeba to umieć.

— Umieć czekać?

— Tak. Czasem się czeka nawet całymi dniami. Uzależnione jest to od wielu rzeczy, nie można więc mieć do nikogo pretensji, trzeba tylko czekać. A poza tym ja właściwie nie miałam szczególnych doświadczeń. Jeszcze nie zagrałam nic tak interesującego, czym mogłabym się pochwalić.

— Co w takim razie decyduje o tym, że przyjmuje pani tę a nie inną rolę?

— Wiele propozycji odrzucam. Będąc na studiach przyjmowałam takie role, których bym teraz na pewno nie przyjęła. Tylko wtedy nic o tym jeszcze nie wiedziałam, w czym można grać, a w czym nie.

— Co więc teraz o tym decyduje?

— Trudno powiedzieć. Przede wszystkim reżyser. Jeżeli jest dobry reżyser, to nawet z epizodu można zrobić coś ciekawego. Tylko, że nie znam tych reżyserów, więc jest to trudny jakikolwiek wybór. Ale wiem, co chciałabym grać.

— Reżyser ma ukierunkować aktora?

— Czasami. Ja te doświadczenia mam akurat tylko w teatrze.

— Chodzi mi o to, że w tej chwili jeszcze nie potrafię sama pracować nad rolą. Potrzebuję reżysera, który by mi pomógł, który by mnie naprowadził, rozbudził we mnie coś więcej, niż we mnie jest. A w filmie czasem jest tak, że wystarczy ładna buzia. Wtedy dla mnie nie jest to interesujące.

— Powiedziała pani jednak coś takiego: „ale wiem jakie role chciałabym grać”. Jakie?

— Nie mogę skonkretyzować, że tę chciałabym grać, a tej nie, bo to naprawdę zależy od tego, jak się nad nią pracuje. Na przykład, gram epizod w „Dziadach” reżyserowanych przez Swinarskiego — jest to zresztą zastępstwo, nie premierowa obsada — ducha Zosi. Dosłownie pięć minut przebywam na scenie, a jest to dla mnie najwspanialsza rola, jaką sobie można wyobrazić.

— Gra pani też w „Warszawiance”?

— W niektórych rolach czuję się tak, jakby mnie ktoś gdzieś zamknął i kazał coś robić. Staram się więc robić to, co potrafię i niektórym się to podoba. Właściwie lubię tę rolę, ale nie jest ona dla mnie tak ciekawa jak rola Anny w „Wiśniowym sadzie” Czechowa, w reżyserii Jarockiego. Jak właśnie rola w „Dziadach”.

— Czy to trochę nie za mało — dwie role zaledwie dają pani satysfakcję?

— Czuję się Anią. Poza tym wspaniale się pracowało z Jarockim. Wspomniałam też rolę Zosi. — Na chwilę mogę się w niej całkowicie otworzyć, wykrzyknąć coś tam na ludzi, powiedzieć, co mi leży na sumieniu. Nie wiem, może jest mi to potrzebne jako mnie właśnie.

Swinarski na jednej tylko próbie do tego spektaklu potrafił powiedzieć kogo gram; że gram człowieka, nie żadnego ducha, że nie muszę udawać.

— Jaka jest pani na co dzień, poza teatrem?

— Nie wiem, jaka jestem.

— Jak wygląda pani przeciętny dzień?

— Czasem jest tak: wstaję rano, robię śniadanie, idę na próbę, która trwa do 14.00 i jeżeli gram w telewizji, mam tylko godzinę czasu na obiad. Wtedy umawiam się z mężem i jemy gdzieś na mieście. Potem jadę na próbę do telewizji, skąd z powrotem do teatru, na spektakl. Często mój dzień właśnie tak wygląda.

— A urlop?

— Okropnie. Będąc w szkole teatralnej, przez cztery lata nie miałam urlopu. Przez film. W tym roku znowu go nie miałam, a jest bardzo potrzebny.

— Czy wie pani, co nowego będzie pani grała w teatrze?

— Przeważnie nie wiemy, w czym jesteśmy obsadzani. To się okazuje w momencie, gdy już pojawia się reżyser. Chyba że on przewiduje, kto ma u niego grać.

— Wobec tego chwile marzeń: reżyser z którym chciałaby pani pracować...

— Mam takiego reżysera, tylko Jego już nie ma. Ale chciałabym pracować z Jarockim, przede wszystkim. Chciałabym grać u Wajdy. Właściwie wszystko i u wszystkich, byle tylko była to ciekawa praca.

— Raczej sceptycznie odnoszę się do tego „wszystko i u wszystkich”...

— Najgorzej jest wtedy, gdy się nie gra, jak się nic nie próbuje. Ze względu na film od początku roku nie mam żadnych prób w teatrze i już mi się wydaje, że coś się zlewa ze mną dzieje. Chciałabym cały czas pracować, bo nawet nieudana rola nigdy nie jest czymś straconym.

— I jeszcze jedno, nie chciała pani ze mną rozmawiać, nieufnie odnosząc się do wywiadów...

— Dlatego, że nie lubię mówić o sobie. A poza tym słowo mówione, gdy się je napisze staje się sloganem i co innego znaczy. Bardzo często.

— Rozmawiała
GRAŻYNA BANASZKIEWICZ